Świat powieściowy.

Nr. 146 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Lily domyśliła się od razu co tam zaszło, chociaż młody człowiek nie przywiózł z sobą bukietu; nie chciała się też za nic w świecie pokazać i stała nieruchoma, przytuliwszy się do słupa. Paweł odprowadził najprzód wzrokiem błędnym panią Hertenstein, a gdy ta w drzwiach zniknęła, zmierzał krokiem niepewnym do powozu.

Był tak zmieniony, taki wyraz zawodu gorżkiego i cierpienia, odbijał się w jego rysach, zwykle swobodnych, rozpromienionych, iż Lily o wszystkich swoich przedsięwzięciach zapomniała. W tej chwili była tylko dzieckiem, niewinnem, nieopatrznem, które zupełnie nie pojmowało, iż mija się z taktem i popełnia prawie nieprzyzwoitość w obec przepisów światowej etykiety. Przestraszona zastąpiła mu drogę, pytając głosem drżącym:

— Co się to stało takiego, panie baronie?!

Paweł zadrżał, przesunął ręką po czole wilgotnem i rzekł głucho:

— Przepraszam panią... nie spostrzegłem!... Witam i żegnam jednocześnie, bo powóz czeka... Racz pani oświadczyć siostrze moje uszanowanie...

Chciał odejść, ale tych dwoje pięknych, ciemnych ocząt, niby wzrok spłoszonej gazeli, tak rzewnie, tak łzawo nań patrzyły, z takiem serdecznem współczuciem, iż spróbował uśmiechnąć się, co mu nie bardzo się powiodło.

— Daruj pani to... dziwne powitanie... ale nie mogę dłużej się zatrzymywać.

— Moja siostra zatem tak ciężki ból panu sprawiła? — szepnęła Lily nieśmiało.

— O tak! zraniła mnię... może sama nie wie jak dotkliwie!... jak głęboko!

— Tak! tak! Anna potrafi być czasem srogą i nieubłaganą! — Lily główką przywtórzyła.

— Nie mów pani tego! Była dla mnie przeciwnie pełną dobroci i wyrozumiałości. Nie jej w tem wina, iż śmiałem sie łudzić, i... zawiodłem najfatalniej!... Ale ja tego ciosu nie przeniosę! — wybuchnął z żalem namiętnym. — Jeżeli zgaśnie dla mnie choćby słaby promyczek nadziei, życie sobie odbiorę.

— Przez miłosierdzie Boże! — Lily rozpaczliwie ręce załamała — nie czyń pan tego! Anna nie miałaby już w życiu całem jednej chwili spokojnej, gdyby stała się przyczyną pańskiej śmierci! A ja... ja... także nie!

Jakkolwiek to zapewnienie z serca płynęło, nie wywarło na Pawła skutku pożądanego. Szał namiętny i ból, zdawały się nim miotać w najlepsze.

— I cóż mi po życiu bez przyszłości? bez promyka szczęścia i nadziei?... Nie będę dłużej przed panią prawdy taił, skoro i tak część z niej odgadłaś. Kocham siostrę pani, gorąco, duszą całą! nad życie!... a skoro mnię odtrąca... skoro nie chce do mnie należeć... zastrzelę się!

Na szczęście, iż oboje byli schowani po za kolumnadą oranżerji, gdzie nikt ich niemógł dopatrzeć, bo Lily rozszlochała się teraz łzami rzewnemi, błagając usilnie, w najczulszych wyrazach, młodego zapaleńca, żeby porzucił myśli tak zbrodnicze! Może Anna nie bierze tego całkiem na serjo? może da sobie wyperswadować ten zamiar nieszczęsny, pozostania w stanie wiecznego wdowieństwa?!

— Czy pani na prawdę masz to za rzecz możliwą? — zawołał Paweł, w lot chwytając choćby najsłabszy promyk nadziei.

— Ależ na pewno! — zaręczyła Lily uroczyście. W trwodze śmiertelnej, która ją opanowała, była gotową na wszystko w świecie przysięgę ofiarować! — Pomówię z siostrą, wystawię jej pańską rozpacz, zapukam do jej serca, do sumienia!... Tylko wstrzymaj się pan z tym strasźliwym zamiarem!

Paweł nie zdawał się skłonnym zrazu do ustępstw pod tym względem, choćby najlżejszych, wyglądał jeszcze ciągle jak wcielenie dzikiej rozpaczy, przemówił jednak po chwili głosem cokolwiek spokojniejszym:

— Dzięki stokrotne, łaskawa pani! Nie wątpię, iż masz wpływ wielki na siostrę, a ona przecie sama mi oświadczyła, że niema nic przeciw mojej osobie, tylko postanowiła nie iść za mąż po raz drugi. Może to okrutne przedsięwzięcie dało by się jeszcze zmienić... i gdybym mógł liczyć na pani pomoc, na jej wstawienie się za mną...

-- Zaufaj mi pan tylko! — Lily uroczyście zape-

wniła, ściskając go silnie za obie ręce. — Będę z całych sił broniła pańskiej sprawy!

Młody człowiek uścisnął nawzajem małe rączęta z szczerą wdzięcznością, nie pomyślawszy jakoś o tem, żeby je do ust podnieść i pocałować.

— Jakże mam się atoli dowiedzieć o powodzeniu pani rokowań w tej sprawie? — zapytał. — W Rosenberg, ma się rozumieć, nie mogę się więcej pokazać, chyba, gdyby mi choć słaby promyk nadziei zabłysnął...

Lily myślała przez chwilę.

— W przyszłą niedzielę będziemy na mszy w Werdenfels i na probostwie... Może pan znowu odwidzisz kuzyna Jerzego?

— Nie — rzekł Paweł z godnością. — Odkąd wiem, jak wrogo ksiądz Wilmut, przeciw stryjowi mojemu występuje, muszę i ja trzymać się od niego z daleka. Może jednak pani zechcesz użyć przechadzki po obiedzie, i... zabłądzisz przypadkiem na górę zamkową?...

— Tam, gdzie tak obficie rośnie leszczyna! — plasnęła w dłonie Lily uradowana. — Myśl cudowna! O drugiej z południa będę tam niezawodnie! Tylko musisz mi pan dać słowo, że się do tego czasu nie zastrzelisz!

— Zaczekam wreszcie z tem dni kilka! — Paweł raczył obiecać. — Może jeszcze nie wszystko stracone!

Uścisnąwszy ponownie rączkę swojej łaskawej orędowniczki, Paweł odjechał. Lily wracała do domu, w nastroju ducha nader podniosłym, cała przenikniona wielką misją, którą jej polecono. W oczach własnych wzrosła o całe niebo. Kroczyła poważnie, uroczyście, jako osobistość, na której wpływ liczono, której wystąpienie energiczne, wstrzymało bodaj na chwilę dłoń samobójcy, a może i w zupełności uratowało życie tak młode! Nie wątpiła, iż siostra da się zmiękczyć, nie zechce sumienia obciążyć śmiercią przedwczesną młodzieńca tak miłego! wzruszy ją rozpacz tak okrutna! Dziwna rzecz jednak, jaki urok tajemniczy ta Anna na mężczyzn wywiera! Wszyscy w czambuł w niej się kochają! Jednego ranka aż dwa oświadczenia, to nie bagatela! I nie miała nic lepszego do zrobienia, jak odrzucić obu pretendentów. Lily zastanowiła się mimowolnie, jak to Bóg nie równo dzieli ludzkie istoty, nie tylko innemi dobrami ziemskiemi, ale nawet uczuciami serc męskich. Jedno z tych oświadczeń naprzykład: mogło by było przypaść „młodszej siostrze“ w udziale. — To drugie, ma się rozumieć! — w duchu dodała.

X.

Na drugi dzień, dość wcześnie zrana, Rajmund już zupełnie ubrany stał w oknie swojej pracowni i patrzał na góry. Ranek był mglisty, bez słońca, tylko burz i zamieci śnieżystych prorokini, „Dziewica z lodu,“ jaśniała mimo nieba chmurnego tak blisko, konturami tak ostremi, iż widok jej mimowolnie dreszczem grozy przejmował. Rajmund wpatrywał się w jej szczyt złowrogi, ale nie ze zwykłym wyrazem znużenia śmiertelnego; wzrok jego pałał ogniem gorączkowym, ruch każdy był nerwowy i niespokojny. Przeszedł się przez pokój krokiem przyspieszonym i wreszcie pociągnął za taśmę od dzwonka.

— Poprosić do mnie pana barona! — rozkazał wchodzącemu kamerdynerowi, a gdy ten ku drzwiom zawrócił, spytał od niechcenia:

— Mój bratanek jeździł wczoraj do Buchdorf zapewne?

— Nie jaśnie panie. O ile mi wiadomo, pan baron był w Rosenberg... przynajmniej tak był stangretowi zapowiedział.

Rajmund skinął ręką w milczeniu na znak, iż kamerdyner ma się oddalić.

— Domyślałem się tego! — szepnął. — Nie chciał czasu tracić.

Po chwili wszedł Paweł do pokoju. Noc musiał bezsennie przepędzić, bo wyglądał bardzo blado, oczy były zamglone i czarną obwódką podkrojone. Silił się okazać spokój i krew zimną, tak w ruchach jak w mowie, ale mu się z tem wiodło jak najgorzej! Był czemś dziwnie przygnieciony, przeistoczony. Widocznem było, iż to „nie“ fatalne, wczoraj odebrane, do głębi serca przeniknęło!

Rajmund nie mógł zmiany tak wielkiej nie zauważyć, nie potrzebował jednak żądać tłumaczenia, przemówił tylko tonem niezwykle miękkim i łagodnym:

— Możem ci sen przerwał Pawle? Dość jeszcze wcześnie...

— O nie! byłem już zupełnie ubrany — Paweł odrzucił.—Zdziwiło mnie tylko, iż ty tak zrana nanogach. Zwykle nagradzasz sobie przed południem godziny w nocy przeczuwane.

— To niespanie w nocy, było niepotrzebną i złą nawyczką, wynikłą z życia samotnego. Czuję jednak, iż to mnie denerwuje, spróbowałem więc zmienić tryb, który ostatecznie mógłby siły moje wyczerpać.

Paweł wypatrzył się na stryja, uszom własnym nie wierząc. Pierwszy raz zdarzyło mu się usłyszeć, żeby Rajmund chciał się czemuś opierać, lub w czemś pokonywać. Dotąd poddawał się ślepo kaprysom i widzimisiom najoryginalniejszym, zachowując się w obec nich najbierniej w świecie. Młody człowiek odczuł również, iż dziwne uprzedzenie i rozdrażnienie kuzyna, w spotkaniu się z nim, ulotniło się szczęśliwie. Rajmund okazywał się niezwykle dobrym i łagodnym, nie był tak zimnym nawet i obojętnym jak dawniej, przeciwnie, wypytywał się ze szczerym interesem, jakie wrażenie odniósł nowy dziedzic zwidzając Buchdorf?

Silił się znowu biedny chłopiec, żeby okazać żywą radość, jaką mu sprawił dar wspaniały. Był to sposób jedyny, którym mógł wdzięczności dowieść. Niestety! szczęście całe, było od wczoraj zatrute, zniszczone! Cóż mu z dóbr przyjdzie, skoro tam nie może zaprowadzić upragnionej życia towarzyszki? Opowiedział jednak szczegółowo, jak wszystko znalazł i jak się ułożył z dzierżawcą.

— Miałeś słuszność zupełną, wstrzymując mnie od przesiedlenia. Muszę z tem poczekać aż do św. Jana. Zostanę więc aż do czerwca w Felseneck, jeżeli inaczej mną nie rozporządzisz — zakończył Paweł sprawozdanie.

Rajmund spojrzał mu w oczy przenikliwie.

— Chciałbyś zatem spędzić zimę całą w tej pustyni? — spytał. — Przedsięwzięcie to bohaterskie, dla natury żywej i towarzyskiej, jak twoja. Myślę, iż będę mógł ci to ułatwić cokolwiek. Chciałem ci właśnie zaproponować, czybyś... nie przeniósł się wraz ze mną do Werdenfels?

Paweł osłupiał.

— Do Werdenfels? — powtórzył, oczy wytrzeszczając. — Tam się więc przenosisz?

— Tymczasem... może tylko na dni kilka.

— Ależ od śmierci ojca, nogą w zamku nie postałeś! W ogóle od lat sześciu blisko, Felseneck nie opuściłeś, a teraz...

— Namyśliłem się inaczej! — Rajmund wpadł mu w słowo tonem wykluczającym wszelką możliwą co do tego punktu dyskusję. — Jeżelibyś nie miał ochoty, ze mną w Werdenfels zamieszkać, całe Felseneck jest na twoje rozkazy.

— Ależ przeciwnie! — Paweł uroczyście zaprotestował. — Przekładam o wiele pobyt w dolinie.

Obliczył w jednej chwili, o ile mu to ułatwi stosunki z Rosenbergiem i domem proboszcza miejscowego.

— Dobrze! Pojedziemy zatem o drugiej z południa. Wczoraj jeszcze wysłałem część służby, aby pokoje dla nas ogrzano należycie i spiżarnię we wszystko zaopatrzono. Arnolda zabieramy także, to się samo przez się rozumie! A więc idź się przygotuj do wycieczki. Czekam cię punkt o drugiej.

Młody człowiek stał dotąd skamieniały. Skoro jednak uczuł, że to zamiar nieodwołalny i całkiem na serjo powzięty, nie śmiał dłużej ani się dziwić, a tem mniej perswadować, coby stryja mogło tylko podrażnić. Pożegnał się zatem, aby Arnoldowi nie lada stracha napędzić nowiną, iż ma się czemprędzej brać do pakowania.

Gdy Rajmund sam pozostał, otworzył drzwi szklanne i wyszedł na balkon. Baszta była na sam brzeg góry wysunięta, tak, że balkon wisiał wprost nad bezdenną przepaścią. Wiatr ostry miotał bluszczem, który wił się i czepiał żelaznej balustrady i od czasu do czasu któraś z jego wiotkich, zielonych gałęzi, spadała na czoło zadumanego, który wzrokiem w otchłani utonął. Znał on się od dawna z tą niebezpieczną kusicielką, czarował go i wabił ku sobie potok szumiący dziko i tajemniczo, tam w dole głęboko .. bardzo głęboko!... Dziś jednakże inaczej do niego przemawiały te głosy tajemnicze, nie nęciły jak zwykle w nicość... w głąb przepaści, lecz napominały surowo do czynu, do walki, karcąc apatję dotychczasową, budząc z marzeń chorobliwych. I musiały zwyciężyć, gdyż Rajmund z dumą podniósł głowę i ponury, nieustraszony, rzucił w przestrzeń te słowa, jakby w odpowiedzi:

— „Ostatnia to słabych ucieczka!“ Nie chcę być tchórzem nikczemnym w jej oczach!

W zamku Felseneck, przesiedlenie tak nagłe, spadające na całą służbę, niby piorun z jasnego nieba, wywołało formalną rewolucję! Zrazu nikt wierzyć nie chciał marszałkowi, dopiero rozkaz zwłoki nie cierpiący, żeby część służby natychmiast do wyjazdu się gotowała, przekonał i najniewierniejszych. Powozy, konie i kuchnia cała, wczoraj ruszyły taborem; dziś razem z panami, wyjeżdżała świta przyboczna, do której w pierwszym rzędzie Arnold należał. Wyglądało to raczej na zupełne z Felseneck wyprowadzenie, niż na pobyt kilkudniowy w Werdenfels.

Noc zapadała, gdy do Werdenfels dojeżdżali. Wicher dmący od gór przez dzień cały, pod noc zmienił się w burzę straszliwą, która z rykiem, hukiem i śnieżną zamiecią spadła na dolinę. Kogokolwiek na drodze przedybała, unosząc niemal w powietrze, ten uciekał czemprędzej do domu, lub szukał u sąsiada przytułku. I stangret Rajmunda konie popędzał co siły, aby dostać się pod dach ochronny; dla tego też wybrał drogę krótszą, która przez wieś prosto do bramy zamkowej prowadziła.

— Powiem Szczepanowi, żeby jechał przez górę — Paweł rękę do stangreta wyciągnął, przypominając sobie przestrogę Rajmunda, żeby się jak najmniej we wsi pokazywał; ten jednak wstrzymał go w zapędzie ruchem energicznym.

— Zostaw go Pawle! Ja sam rozkazałem jechać wprost przez wieś!

Młody człowiek nie wiedział co myśleć. Dziś stryj mu już całkiem na „sfinksa“ wyglądał.

— To pozwól przynajmniej dach podnieść — wtrącił nieśmiało. — Wicher nam formalnie zdziera z głowy czapki i przeciska się mimo futer, mrożąc do szpiku i kości. Tyś tak z powietrzem nie oswojony...

Rajmund zdawał się istotnie kostnieć od zimna, gdyż drżał jak w febrze i w futro otulał się staranniej. Odpowiedział jednak głosem stanowczym:

— Nie! powóz zostanie otwartym!... dojeżdżamy zresztą do zamku.

Oparł się o poduszki, był jednak dla każdego widzialnym. Sam nie patrzał ani w prawo ani w lewo, tylko wprost przed siebie, a usta do krwi zagryzał, jakby ten przejazd był dla niego męką niewysłowioną.

Powóz pędził przez wieś na skrzydłach wichru niesiony, wśród śniegu tumanów, niby mara senna. W oknach domostw, ukazywały się tu i owdzie oczy zaciekawione, które bądź cofały się przerażone w głąb izby, bądź też innych sprowadzały i długo, długo wpatrywały się w powóz znikający. Wtedy drzwi się otwierały i jaki taki leciał mimo burzy do najbliższego sąsiada, aby się spytać i naradzić, czy wzrok ich nie złudził, czy to istotnie baron Rajmund, myśli znowu po tylu latach, w zamku Werdenfels zamieszkać?

Na samym końcu wsi, gdzie stały ostatnie dwa domy, powóz zetknął się z człowiekiem starym, przygarbionym, który także radby był dostać się pod dach ochronny, z trudnością jednak przychodziło mu z wichrem borykanie, bo mocno na jedną nogę utykał.

Paweł poznał w nim natychmiast owego kalekę, spotkanego w lesie, na drodze do leśniczówki prowadzącej. Starzec chciał właśnie zejść na bok, robiąc miejsce wolne powozowi, gdy naraz stanął jak wryty, wlepiwszy w Rajmunda wzrok szklanny, nieruchomy, jak gdyby widmo złowrogie ujrzał nagle przed sobą. I stał tak dalej skamieniały, mimo iż powóz nadjeżdżał coraz bliżej, aż musiał woźnica końmi szarpnąć z całej siły i zjechać na sam brzeg drogi, aby uniknąć nieszczęścia.

Rajmund szarpnięciem z zadumy obudzony, spojrzał również w tę stronę. Zbiegły się na chwilę ich źrenice i powóz dalej się potoczył, pierwsze to jednak spotkanie z ludzką istotą, na drodze do zamku, wywarło na ordynata wrażenie olbrzymie.! Zadrżał, pobladł śmiertelnie i płaszczem owinął się po same oczy. Nie wymówił ani słowa wprawdzie, ale odetchnął całą piersią, gdy powóz wieś mijając, skręcił w aleję do zamku prowadzącą.

Na probostwie nie zauważono przyjazdu Rajmunda, gdyż okna księdza kancelarji, nie na drogę, lecz na ogród wychodziły. Proboszcza pracownia i biuro zarazem, była to izba obszerna, kwadratowa, jak najskromniej umeblowana. Pod ścianami po prostu wapnem pobielonemi, stały półki dębowe, zrobione od siekiery, a na nich mnóstwo dzieł kosztownych, ale wyłącznie treści religijnej. Nad skromnem biurkiem wisiał pyszny krucifiks hebanowy, z ciałem Chrystusa Pana, artystycznie z kości słoniowej wyrzynanem, jedyny przedmiot zbytkowy pomiędzy innemi sprzętami nader ubogiemi i od długiego używania sponiewieranemi. Był to dar od prezydenta Hertensteina, za ślub dany mu przez proboszcza, z panną Wilmut. Zresztą darmo by tu oko szukało za czemś do wygody, lub przyjemności życia. Surowość Purytanina, zrzeczenie się wszelkich ziemskich roskoszy Ascety, przebijały i odźwierciadlały się w całem urządzeniu.

W krześle staroświeckiem z wysokiemi poręczami, siedziała Anna pod oknem. Wstąpiła na probostwo, wracając z miasteczka, i obecnie przysłuchiwała się z cierpliwością godną podziwu, rozmowie, toczącej się w kancelarji proboszcza.

Wilmut oparty plecami o biurko, prawił z namaszczeniem, jakby z kazalnicy, karcąc surowo dwóch wieśniaków. Jeden z nich był już widocznie skruszony do głębi, drugi stał dotąd z miną butną, z brwiami ściągniętemi, z wyrazem uporu niezłomnego, w małych, burych oczkach. Obydwaj jednak słuchali kazania z głową pochyloną, w najwyższej pokorze ducha!

— A teraz... pogódźcie się! — zakończył proboszcz z naciskiem. — Procesa zjedzą was nareszcie z kretesem, grunta posprzedajecie, jak już połowę bydła pozbyliście się na opłacenie stempli i adwokatów, i tak wygrany jak przygrany, pójdzie w świat z torbą na plecach! Skoro sami na tyle poznania i rozgarnienia nie posiadacie, muszę ja być w waszej sprawie rozjemcą, i powiadam całkiem na serjo tym razem: pogódźcie się natychmiast!

Byli to dwaj najznaczniejsi gospodarze z całego Werdenfels, i nikomu, nawet panu sędziemu powiatowemu, nie uszło by bezkarnie, gdyby chciał tak despotycznie mięszać się w ich sprawy. Od swojego proboszcza przyjmowali jednak łajanie, jakkolwiek ostre, najspokojniej, i jeden z nich nawet odezwał się po chwili wahająco:

— Jeżeli ksiądz proboszcz myśli, to zresztą... chociaż to bardzo gorżko człowiekowi powiedzieć „tak“, kiedy mu się wielka krzywda stała!

— Każdy z procesujących utrzymuje uparcie, iż słuszność po jego stronie! — przerwał mu Wilmut niecierpliwie — a w końcu tak jest zawsze, iż obydwaj przeciwnicy muszą cokolwiek ustąpić, ażeby do zgody przyjść mogło! Cóż ty na to Rajner?

Zapytany, widocznie więcej od pierwszego zacięty i uparty, miął czapkę w ręku, skrobał się w głowę, bąknął wreszcie z niechęcią:

— Namyślę się, proszę księdza proboszcza!...

— Aby po namyśle „nie!“ powiedzieć! — ksiądz go ofuknął. — Musicie się w tej chwili pogodzić! Wszak Keil gotów do zgody, czyż ma się wszystko rozbić o twój upor piekielny? Ręce sobie podać... natychmiast!

Nie była to namowa, lecz rozkaz najformalniejszy, ale proboszcz znał swoich parafian, i trzymał dłonią żelazną w karności wojskowej. Keil rękę wyciągnął, a Rajner nie bardzo wprawdzie chętnie, nie bardzo serdecznie, jednak nie ociągał się dłużej, tylko przyjął i uścisnął dłoń przeciwnika, na znak zgody i bezwarunkowego posłuszeństwa dla swojego pasterza.

— Dobrze! — ksiądz głową skinął. — A teraz dacie znać panu Freising, iż zgoda nastąpiła, rekursu więc wznosić nie potrzebuje. Aha! jeszcze jedno Rajner! Dla czego nie chesz przyjąć Eckfrieda na robotę? Czy ci się w czemś sprzeniewierzył?

W rysach grubych i bezmyślnych chłopa, odbiło się pomięszanie i nie miłe zdziwienie tem pytaniem, odrzekł więc wahająco, ściskając miłosiernie ramionami:

— Stary już nie zda się do roboty. U mnie trzeba rąk zdrowych i silnych...

— Eckfried jest atoli biednym kaleką, i to nie z własnej winy, jak wiecie — wtrącił proboszcz. — Cóż pocznie, jeżeli mu i tego kęsa chleba pożałujecie, na który tak gorżko w pocie czoła pracuje?

— No! — chłop się znowu w głowę poskrobał — musi go w takim razie gromada utrzymywać. Nie jesteśmy co prawda bogaci, niech to będzie Panu Bogu niewymownem, ale jeszcześmy przecie na to nie przyszli, żeby dać umrzeć z głodu starym i kalekom niezdolnym do roboty.

— Chcecie go więc narzucić jako ciężar gromadzie, gdzieby trochę dobrej woli wszystkiemu zaradziło? Znamy Eckfrieda! nie zniesie on i nie przyjmie jałmużny, póki tylko ręką będzie mógł ruszyć. Skoro najbogatszy we wsi gospodarz, starcowi zatrudnienia dać nie może, wezmę go na probostwo, i wyszukam dla niego jakąś lżejszą robotę, aby jej podołał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pożyczana mama.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Zamiar dojrzewał powoli w umyśle hrabiny, cała nawet rozmowa z profesorem, krystalizowała się w jej głowie, tylko serce jej poczciwe drżało na myśl, iż będzie zmuszoną zranić dotkliwie człowieka zacnego, który niczem wobec niej nie zawinił. Wreszcie na jednym z balów prywatnych, przy końcu karnawału, widząc Idę stojącą z kimś innym w kadrylu, a spostrzegłszy, iż pan Skólski nie tańczy, tylko wychodzi z sali głównej od przyległego gabinetu, wysunęła się za nim cichaczem, aby z chwili wolnej skorzystać i przeciąć węzeł gordyjski raz na zawsze.

— Chciałabym z panem słów kilka pomówić—odezwała się słodziutko hrabina, przerywając głęboką zadumę profesorowi, który usiadł był na kanapie i zapatrzył się w piękne i wyniosłe drzewo palmowe. Może biedak bujał w tej chwili myślami tak wysoko, jak palma strzela w niebo ojczyste, dumnym swoim wierzchołkiem; może mu było w sercu tak jasno i słonecznie, jak tam na Wschodzie, wśród płotów kaktusowych i wśród aloesu klombów tajemniczych. Nie wolno atoli śmiertelnikowi, oddawać się bezkarnie słodkim marzeniom na tym łez padole! Rzeczywistość nieubłagana ściąga nas z sfer wyższych na ziemię, budzi ze snu błogiego dłonią lodowatą. Profesor drgnął i zerwawszy się z siedzenia, zawołał głosem stłumionym:

— Jestem na usługi pani hrabiny.

— On na pewno goni tylko za Idy posagiem — pomyślała hrabina — nie potrzebuję zatem i nie chcę zbytnie go oszczędzać.

— Panie Skólski! — zaczęła wahająco, mnąc nerwowo chusteczkę w dłoni zciśniętej, mimo, iż sobie odwagi dodwaała. — Pragnę być szczerą wobec pana, ceniąc najwyżej cnotę otwartości.

Skłonił się w milczeniu.

— Żeby się choć odezwał — westchnęła w duchu hrabina — wielce by mi tem zadanie ułatwił!

Profesor jednak stał przed nią niemy i bez ruchu, mówiła więc dalej głosem drżącym:

— Hrabia P. oddał mi pod opiekę swoją bratanicę, w zupełnem zaufaniu, jako najlepszej jej matki przyjaciółce. Ida jest sierotą, tem większa ciąży na mnie odpowiedzialność... tak przed stryjem, światem, jak i przed własnem sumieniem.

Znowu żadnej odpowiedzi, prócz sztywnego i ceremonjalnego ukłonu. Rozpacz ogartywała hrabinę nieszczęśliwą.

— Nie uszła mojej uwadze sympatja, łącząca państwo nawzajem i szczególne odznaczanie pana przed wszystkimi innymi przez Idę, w czem jest trochę lekkomyślną i nierozważną... To by pana mogło zaniepokoić... mógłbyś łudzić się niebezpiecznemi nadziejami... i dla tego postanowiłam...

— Rozmówić się ze mną szczerze i otwarcie—dokończył profesor, gdy hrabina urwała w połowie okresu.—Rozumiem o co pani idzie. Chcesz mi dać do poznania, iż ta wzajemna sympatja, jest ci bardzo niemiłą, że hrabianka Ida jest jedną z pierwszych partyj w kraju, powinna dostać się zatem jakiemu księciu, a przynajmniej hrabiemu, żeś odkryła hrabino co mnie skłania ku tej młodej osobie, tak szczodrze przez naturę wyposażonej: nic innego ma się rozumieć, tylko jej posag! Że jednem słowem życzysz sobie pani, aby drogi nasze rozeszły się na wieki!... Czym dobrze myśl twoją odgadł hrabino?...

Biedna hrabina! Wprawdzie wypowiadał słowo w słowo to, co było najskrytszem i najgorętszem jej życzeniem, ale skoro z ust jego wyszło, z ust drżących bolem, którego nie mógł utaić, mimo nadludzkich wysileń, serce jej miękło, i mało się we łzach nie rozpłynęło.

— Coby zrobiła na mojem miejscu Kunegunda?— pomyślała hrabina, chcąc sobie dodać odwagi. Jakże by jej się w tej chwili przydał słownik pani prezesowej, obfity w słówka kłujące jak szpilki, a pełne jadu jak żądło szkorpiona. Tak sobie pięknie naprzód ułożyła, jak go zgromi, i jakiemi dosadnemi argumentami pobije, aż raptem oniemiała na widok jego bolu i postawy, pełnej szlachetnej rezygnacji.

— A więc tak jest, jak sobie wyobraziłem? — mówił dalej tonem spokojnym profesor, który stał się nagle panem sytuacji. — Nie dziwię się pani zapatrywaniom, nie potępiam jej obawy i wstrętu do mojej osoby. Hrabianka Ida ma znaczny majątek, ja zaś sam sobie los stanowiąc, posiadam to tylko, co mi dała praca i nauka. Słuszna rzecz zatem, iż pragniesz mnie pani z drogi usunąć... boleśnie mi tylko, żeś mnię posądziła o nikczemne gonienie za posagiem. Do niesprawiedliwych sądów ogółu jestem przyzwyczajony, myślałem jednak, iż serce tak wzniosłe i czułe, jak twoje pani hrabino, osądza ludzi inaczej... z chrześciańską miłością i miłosierdziem.

— Ależ doprawdy! mylisz się zupełnie szanowny panie! — bąknęła hrabina nieśmiało, chociaż był to tylko z jej strony wybieg strategiczny. Przed chwilą myślała tak samo, teraz atoli drżała ze strachu pod wzrokiem człowieka niewinnego, któremu tak ciężką boleść zadała, który ma wszelkie prawo nazwać ją bez serca, bez miłosierdzia...

— Niestety, bynajmniej się nie omyliłem pani hrabino, myślałaś to wszystko, com ja głośno wypowiedział. Powtarzam raz jeszcze, iż się temu jej zapatrywaniu wcale nie dziwię. Racz-że pani jednak i mnie cierpliwie posłuchać. Od lat dziecięcych niemal nauczyłem się patrzeć na życie poważnie, jako człowiek ubogi, który w pracy musi szukać chleba kawałka po prostu. Nauka, książki, moje studja historyczne, wyłącznie czas mi zabierały, budziły interes, i na nie zwracałem jedynie uwagę. Tej zimy dopiero zacząłem uczęszczać cokolwiek w towarzystwa, i między innemi przyjąłem nader uprzejme, a wielce dla mnie zaszczytne zaproszenie księżnej Cecylji. Tam po raz pierwszy ujrzałem hrabiankę Idę i... uległem czarowi, który w koło siebie roztacza. Powiedz sama pani hrabino, czy można pozostać obojętnym, czy można nie ubóstwiać istoty tak doskonałej, gdzie umysł jest równie wykształcony, jak dusza wzniosła i pełna szlachetnych porywów, gdzie dobroć serca łączy się w całość harmonijną, z postacią pełną wdzięków i uroku. Chciej pani wierzyć, iż o majątku tej cudownej rusałki, ani pomyślałem. Umiem obchodzić się bardzo małem, a dziś mam dzięki Bogu dosyć, żeby dom cały utrzymać. Wiem atoli, iż razem z panią, świat cały posądził by mnię, że głównie posag hrabianki miałem na celu. Wielu mężczyzn goni dziś bez najmniejszych skrupułów za posagami, ja do nich jednak nie należę! Ubliżało by to mojej godności, nie licowało z mojemi zasadami. Możesz pani zatem być zupełnie spokojną. Z mojej strony nie potrzebujesz obawiać się niczego. Będę unikał najstarannej spotkania z hrabianką Idą, bo jestem tylko słabym człowiekiem i mimowolnie mógłby zdradzić moją miłość głęboką i namiętną: głos, rzut oka, słówko zbyt gorące i nie dość naprzód obrachowane. Napiszę zresztą jutro zaraz do Lwowa, iż przyjmuję miejsce i katedrę historji, którą od dawna mi tam ofiarują. Materjalnie nic nie tracę, moralnie bardzo wiele, bo tu czerpię w źródłach obfitszych w moich studjach i poszukiwaniach. Chętnie jednak uczynię tę ofiarę, byle usunąć się stanowczo, i nie stać na zawadzie pani pupilce do losu świetnego, na jaki pod każdym względem zasługuje.

— Wiesz Waciu — przyznała się hrabina synowi, opowiadając mu nazajutrz o swojem spotkaniu i rozmowie z profesorem — gdy na odchodnem spojrzał na mnie temi oczami ciemnemi, tak pięknemi i rozumnemi, gdym w tym wzroku smutkiem zamglonym, gorżki, bolesny wyrzut dostrzegła, uczułam się tak winną, jakbym czyn najhaniebniejszy popełniła! O mało w głos się nie rozpłakałam, i nie wypaplała wszystkiego, mianowicie, że o ile mnie się zdaje, Ida jest nim na serjo zajęta. Na szczęście zniknął mi prędko z oczu, i ja potrafiłam stłumić w sobie zbytnie wzruszenie.

Z tych słów widzimy, iż hrabina bardzo drogo zwycięstwo opłaciła, i jeżeli pocieszała się myślą, że dopełniła tym czynem powinności jako sumienna opiekunka i zadość uczyniła światowym wymaganiom, lękała się z drugiej strony wymówek Idy, która kadryla przetańczywszy, oglądała się daremnie na wszystkie strony, pytała się wszystkich o pana Skólskiego, a nie mogąc go się doczekać, rozstrojona i niespokojna, sama bardzo wcześnie powrót do domu zaproponowała, pod pozorem silnej migreny.

Po rozmowie z synem, hrabina uczuła się spokojniejszą; w pół leżąc na ottomanie w budoarze, przymknęła zwolna powieki, aby wynagrodzić sobie trudy nocne, gdy słuch jej snem przyćmiony uderzyło nagle pytanie, straszniejsze niż huk pękającej bomby dynamitowej, mimo iż wypowiedziały je tonem łagodnym usteczka Idy malinowe.

— O czem pani z nim rozmawiała?...

— Z kim dziecię kochane? — zawołała hrabina przerażona, udając wielkie zdziwienie.

— O! wiesz o tem pani aż nadto dobrze. Coś powiedziała hrabino profesorowi?...

— Teraz albo nigdy! — pomyślała w duchu hrabina, wyobrażając sobie prezesowę kochaną, z jaką powagą i z jakiem namaszczeniem, wystąpiła by w tym wypadku z kazaniem w trzech częściach. Wszystko zależało od krwi zimnej, i wyłuszczenia całej sprawy, bez cieniu wzruszenia. Hrabina zatem dumnie głowę podniosła, i rzekła lodowato:

— Powiedziałam panu Skólskiemu, com uważała za stosowne, jako opiekunka odpowiedzialna za los twój i twoje postępki.

— Bardzo proszę! Za moje postępowanie sama potrafię odpowiedzieć —Ida spojrzała na hrabinę oczami szafirowemi, z tak gorżkim wyrzutem, iż biedna pani Laura oniemiała ze strachu, i uczuła się zupełnie rozbrojoną. — Chcę wiedzieć najdokładniej, o czem państwo rozmawiali?...

— Ja dziecię kochane prawie nic nie mówiłam — szepnęła hrabina jak mogła najciszej.

— Cóż więc mówił pan Skólski?

— Boże! Jaka ona nieugięta, nieubłagana! — pomyślała hrabina w rozpaczy. — Tak mnie do muru przyparła, iż rada nie rada, muszę wszystko wyśpiewać!...

Zaczęła więc powoli słowa Skólskiego powtarzać. Ida słuchała na pozór spokojnie, schowana za ekran od kominka, a łzy ciężkie spływały jedna po drugiej na jej kolana i ręce na nich skrzyżowane.

Hrabina nabrawszy odwagi, skoro nie słyszała z ust Idy protestu, tak zakończyła:

— On sam uznał, iż najskuteczniejszem będzie dla was rozłączenie. Postępuje rozumnie, i jak człowiek uczciwy. Powinnaś i ty dziecię stłumić w samym zarodku — jeżelibyś nawet była nim przelotnie zajętą — uczucie niestosowne, niemożliwe, które i pan Skólski za takie uważa, i dla tego chce się zupełnie usunąć.

Ida zerwała się gwałtownie, a z oczu jej, mimo, iż były łzami zroszone, strzeliła gniewu błyskawica.

— To więc ma być jedyną nagrodą dla człowieka najzacniejszego i najszlachetniejszego?!... W miljonach

nie znalazby się drugi taki wzniosły charakter! Ani słowa więcej pani hrabino! Nie spodziewałam się, że i ty potrafisz być tak okrutną, tak niesprawiedliwą! Myślałam, żeś o wiele lepszą!

Głośnym płaczem wybuchnąwszy Ida z pokoju uciekła, zostawiając biedną hrabinę, pogrążoną w niemej rozpaczy, w morzu niepewności, wątpliwości i srogich wyrzutów, które jej własne serce czyniło.

— Dzięki Bogu! — westchnęła nazajutrz zrana hrabina — jestem na zawsze uwolniona od widma straszliwego! Profesor słowa nie złamie i będzie unikał z nami spotkania. Ida uspokoi się powoli i wytrzeźwi z szału przelotnego... czyż każda z nas przed ślubem takiej gorączki nie przechodziła? Miłość sentymentalna, bez nadziei, należy przecież do chorób dziecięcych, jak odra lub koklusz!... Koniec końców trochę popłacze, pocierpi i... i zostanie wkrótce moją synową!

Ida cały dzień wczorajszy z pokoju swojego nie wychodziła, zamknąwszy się szczelnie. Dziś wyszła bardzo blada, z oczami czarno obwiedzionemi, z ustami zaciśniętemi bolem kurczowym, z dziwnie głęboką zadumą na czole lekko sfałdowanem. Głosem cichym i drżącym powiedziała „dzieńdobry“ hrabinie, zaraz po śniadaniu na zwykłą przechadzkę się wybierając, z wierną swoją piastunką Basią. Powietrze było mroźne lecz czyste i suche, słońce świeciło jaskrawo, zapowiadając całej naturze rychłe obudzenie z długiego snu zimowego.

— Może skusi go to piękne słońce — myślała Ida w ogrodzie strzeleckim, skręcając w boczną uliczkę zupełnie pustą o tej porze.

— Jeszcze przed odjazdem zwidzę to miejsce, gdziem ją tyle razy spotykał — mówił sobie w duchu profesor, patrząc z sercem ściśniętem na kufry do podróży spakowane, gdyż jeszcze dziś wieczór chciał Kraków opuścić. — A może... może... ujrzę ją z daleka, napoję wzrok jej widokiem... uniosę w sercu ten obraz czarowny, niezatarty, dopóki biedne, złamane, bić nie przestanie!... Nie przemówię, nie zbliżę się... ale po raz ostatni spojrzę na nią i usunę się natychmiast... na zawsze!

„Człowiek strzela — mówi przysłowie — a Bóg kule nosi“ — tak się stało i naszemu bohaterowi. Liczył na własną stałość w postanowieniu i na słowo dane hrabinie, a nie wiedział, do czego zdolną jest natura tak energiczna jak Idy, gdy młode serduszko po raz pierwszy rozpłomieni się miłością prawdziwą. Skłonił się sztywnie, zoczywszy ją zdaleka i chciał wyjść czemprędzej z ogrodu, gdy Ida szybko podbiegła, drogę mu zastępując.

— Czy to prawda panie profesorze — spytała głosem stłumionym, jakby jej tchu brakowało — że myślisz ztąd wyjechać?

— Tak jest pani... jadę dziś wieczór!

— Na długo?

— Na czas... nieograniczony.

O! jakże mu ciężko było dotrzymać przyrzeczenia! Nie byłby się narażał na tak straszną pokusę, gdyby mógł był przewidzeć, że go pierwsza rozmową zaczepi, zamiast jak zwykle przejść mimo, ze słodkim uśmiechem i serdecznem główką skinieniem.

Milczenie na chwilę zapanowało. Podczas sezonu tegorocznego, Ida nabyła wprawy niemałej, w zręcznem rozdawaniu koszyków, i usuwaniu z drogi natrętnych i niepożądanych konkurentów, w sztuce atoli wyciągania na słówko, co gorsza, niemal oświadczania się samej, była zupełną nowicjuszką i nie miała wyobrażenia, jak się wziąć do czegoś podobnego!

— Hrabina mówiła mi... wspominała... — szepnęła cichuteńko, oczy przysłaniając rzęs długich firanką — o swojej na balu wczorajszym rozmowie... o tem, coś jej pan odpowiedział i... przyrzekł...

Profesor drgnął i ruchem nerwowym ułamał gałąź akacji, koło której stał właśnie, usta do krwi zaciskając, słowa jednak nie mógł wymówić.

— Czyż tak być musi?... Czyż postanowienie pańskie nieodmienne?... — Ida wzrok łzawy na niego podniosła, a głos jej drżał skargą bolesną.

— Przez miłosierdzie Boże! Nie kuś mnie pani! To nad siły moje! Wiem, żeś najszlachetniejsza, o całe niebo wyższa od twojego otoczenia, że byłabyś gotową zejść aż do mnie nito Anioł jasny!... Honor, cześć moja osobista, nie pozwala mi jednak przyjąć tak wielkiej ofiary!..

— Ofiary?! Któż to panu powiedział? Czyż ofiarą nie nazywa się właśnie szczęścia wyrzeczenie? Pan to chcesz mnie i siebie poświęcić dumie i ambicji, nie chcesz zrozumieć, że bez ciebie niczem będą dla mnie bogactwa, niczem świat cały, że...

Ida głucho załkała, twarz oburącz zasłaniając.

— Boże wielki! — krzyknął Jan i porwał ją w ramiona z uniesieniem. — Więc ty mnię kochasz najdroższa! ubóstwiona! Więc jam ci do szczęścia potrzebny! O! bądź błogosławiona za to szczere wyznanie, które mogło jedynie mnię rozbroić i drogę nam obojgu do szczęścia nadziemskiego utorować!

— Jak też to tym dziewczętom pstro w głowie i jak łatwo ich smutki mijają! — pomyślała hrabina, gdy weszła do jej budoaru Ida, rumiana jak jutrzenka, rozpromieniona, z okiem wilgotnem, z uśmiechem roskosznym na ustach. Kołpaczek astrachanowy i takiż paletocik na krześle złożyła, rękawiczki cisnęła Muszce do zabawy, która też z niemi czemprędzej pod fotel uciekła, sama zaś z minką figlarną i pokorną zarazem, kotki łaszącej się pieszczotliwie, gdy ją przy garnuszku śmietanki przydybią, przyklękła na podnóżku u kolan hrabiny, i rzekła czule, ręce jej pocałunkami okrywając:

— Teraz mogę wszystko ci przebaczyć ciociu Lolo, lękam się tylko, że ty mi nie tak łatwo zapomnisz to, com bez twojej wiedzy uczyniła!

Hrabina zbladła śmiertelnie i jękła przerażona:

— Ido! Nie starałaś się przecie widzieć?!...

— Starać się o to nie starałam, ale Bóg sam sprowadził nas razem cudownie, natchnąwszy jedną

myślą i jednemi chęciami. Dość na tem, żeśmy się na spacerze spotkali, i... i... jestem już po słowie z panem Skólskim!...

Biedna, udręczona mama *in partibus*, nadaremnie próbowała w pierś ścieśnioną tchu złapać! Bliska zemdlenia szepnęła głosem stłumionym, ręce rozpaczliwie załamując:

— Na nic się więc nie przydały wszystkie moje zabiegi! Boże! Boże! jak się przed stryjem twoim wytłumaczę!

— Przed moim najlepszym stryjciem?! — zaśmiała się Ida wesoło. — A czyż on kiedy mi się w czem sprzeciwił? Czy kiedy myślał o czem innem, niż o zapewnieniu mi doli szczęśliwej? Gdyby ów majątek, tak starannie przez stryja zbierany i pomnażany, miał mnie pozbawić szczęścia najwyższego i uczynić najbiedniejszą i najnędzniejszą! raczej bym go się wyrzekła, i oddała na pierwszy lepszy cel dobroczynny. Mój Jaś najszlachetniejszy, kochał by mnię wtedy jeszcze więcej!

Ma się rozumieć, iż śmiała i energiczna dziewczyna, celu upragnionego dopięła i w pół roku później była już najszczęśliwszą żoną najszczęśliwszego męża!

Cóż się stało dalej z naszą kochaną hrabiną? Odchorowała ten cios nowy, zarzekała się najsolenniej, że na ślubie nie będzie i w życiu więcej żadnej pupilki nie weźmie pod skrzydła opiekuńcze, dała się jednak przebłagać. Razem ze stryjem, wśród płaczu rzewnego, błogosławiła młodej parze, tak się wreszcie godząc z profesorem, iż na miesiąc miodowy państwa młodych do siebie na wieś zaprosiła.

Nie jeden jeszcze ostry przycinek zniosła od złośliwej pani Kunegundy, gdy atoli poszła za radą syna i przy pierwszej sposobności z góry nabrała sekutnicę, wypraszając sobie wszelkie uwagi i nauki moralne, prezesowa nagle ucichła i odtąd „z po za płotu“ (jak to mówią) rzucała pociski jadu pełne, w oczy zaś była słodziutką i pokorniusieńką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NIEBEZPIECZNA.

I.

MIĘSZANINA.

— Bukiet trójkolorowy...

— Rozumiem, rozumiem... skoro to ma być czyn miłosierdzia w obec narodu... Francuzi z Tonkinu są zawsze Francuzami. Pytajcie jednak autorów fabrykujących kuplety... Róże, goździki, fiołki i bławaty, na to pozwalam!... Tylko nie tak wiele tuberozów... kwiaty niezdrowe, odurzające... Idę wypalić cygaro w sali gry... Pierwszy raz w życiu szukam przy zielonym stole odpoczynku... Słuchajcie no! Spodziewam się, iż nikt nie sprzedaje w Piekle? — jak wy to miejsce nazywacie młodziki niedoświadczeni, których tam częstokroć do żywego oskubują.

— Nie panie baronie. Stół zielony stoi na gruncie neutralnym. Wprawdzie baronowa de Tolly chciała dać bank, wyrobiła sobie nawet koncesję na spółkę — bez włożenia pieniędzy ma się rozumieć — komitet jednak uznał za stosowne, pięknie podziękowawszy, nie przyjąć zaszczytu tak wielkiego. Przewąchał i w tem spekulacyjkę. Możesz więc baronie wypalić cygaro najspokojniej, nie bojąc się napaści odurzających tuberozów.

Baron, człowiek starszy, o włosach krótko podstrzyżonych i już mocno szpakowatych, wzruszył litościwie ramionami. Rozmawiał on z dwoma młodymi komisarzami, którzy należeli tego wieczora do kółka tak zwanych przyciągaczy. Znajdowali się wszyscy trzej w rogu wielkiej sali dolnej, przytykającej do rotundy, gdzie odbywała się wenta na korzyść poszkodowanych przez wylewy wód w Tonkinie.

— Nie mówię tego przez wzgląd na siebie. Od dawna nie idą mi do głowy i zawrotu nie sprawiają odurzające wonie tuberozów. Idzie tu o zasadę. Śmiej się, śmiej młodzieży nieopatrzna!... Wam w to graj, żeby świat cały w jednym kotle zmięszano w farmuszkę... Wierzycie jeszcze, iż połów najłatwiejszy w mętnej wodzie. Co do mnie, znajduję opłakanem, iż nasze siostry, nasze żony łączą się...

Młodszy z komisarzów parsknął śmiechem.

— Nie masz panie baronie ani siostry, ani żony.

— Zapewne... Ale wy panowie macie siostry. Wielu z waszych współczłonków i żony posiada... W klubie wszyscy są solidarni. Zresztą przesadzacie... Jeżeli nie jestem mężem i przestałem być bratem, jestem przecie stryjaszkiem. Bratanek to tyle prawie znaczy co bratanka.

— Oh! — zawołał drugi z rzędu młodzieniec — widać, że Raoul de Frézel należy do pańskiej rodziny. I on opiera się dzielnie migrenom, które sprawiają częstokroć niebezpieczne tuberozy. Od iluż to lat wysilamy się, ja i Maks, aby złapać go w sieć miłości, ani daj Boże! Gotowiśmy byli do wszelkich ofiar, aby tylko doczekać się tego fenomenu, i widzieć Raoula na dobre oplątanego. Ja chciałem mu odstąpić moją Fokę, Maks zrzekał się na jego korzyść praw wszelkich do serca i wdzięków czarnowłosej i czarnookiej Gitany, wydał nam się jednak takim lodowcem, iż wstrzymaliśmy się od tak wielkich poświęceń dla niewdzięcznika!

— Tak, tak! — uśmiechnął się baron de Frézel z zadowoleniem — będzie z niego mąż dobry i pilnujący ogniska domowego, jak Bóg przykazał, wy zaś

nicponie zestarzejecie się i zmarniejecie kawalerami... Zatęsknicie dopiero, gdy już będzie za późno i gdy was opuszczą Foki i Gitany, do cichej ostoi małżeńskiej. Skoro mój bratanek Raoul, nie daje się odurzać motylkowatym i niebezpiecznym tuberozom, przyszlijcie mi go napotkawszy. Powiedzcie mu... tak będzie najlepiej... powiedzcie, że mam dla niego w kieszeni Regalias niezrównane!

Baron odszedł krokiem mierzonym, prostując się ile możności i z głową podniesioną. Mijał właśnie stolik, przy którym dwie młodziutkie panienki, jedna ubrana biało, druga różowo, sprzedawały kwiaty pod opieką damy starszej wiekiem, w sukni ciemno niebieskiej. Obdarzył obiedwie dziewczątka uśmiechem przelotnym, skłonił się nisko damie i wszedł na korytarz do sali gry prowadzący.

Dwaj młodzi komisarze wzrokiem go odprowadzili. Młodszy wachlował się chustką ze znużenia.

— Nudny gdera ten stary Frézel!... Ale co prawda to prawda, publiczność dzisiejsza djablo pomięszana!

Przy tych słowach rzucił okiem na kwieciarki trójkolorowe, zatrudnione rachowaniem stosów złota przed niemi nagromadzonego.

— Niestety mój Maksiu kochany, lepiej nie dochodźmy pochodzenia wszystkich tych luidorów (jakby wyraził się stary baron, który bawi się czasem w poglądy filozoficzne) które napełniły woreczki tych tam niewiniątek. Mogło by to być nadto oryginalnem i za daleko nas zaprowadzić. Wiele z nich pachnie Opoponaksem, a inne piżmem zabijają. Nasze damy piękne i miłosierne nie przyglądają im się nadto z bliska; aby oddać Bogu, na procent od szatana pożyczają.

— Naturalnie! — Maks odrzucił. — Wychodzą one z tej zasady, że „cel uświęca środki," oczyszcza serca i pieniądze złożone na ofiarę. Przed chwilą spotkałem Małgorzatę. Wiesz przecie, ładną Małgosię z Variétes, która w ostatniej revue teatralnej, występywała jako żywy telefon. Złożyła na stoliku hrabiny d'Ormoise pięćset franków za parę kandelabrów z bronzu pozłacanego... pięć biletów po sto franków, na własne oczy widziałem... Odchodziła dumna niesłychanie, że taka wielka dama przyjęła od niej pieniądze. Gdym podziwiał jej wspaniałomyślność, odrzuciła tryumfująco: „I do tego Maksiuniu drogi trzeba ci wiedzieć, że kieszeń moja cierpi chwilowo na suchoty, ale od czego rozum, od czego głowa?! Jadłam kolację z jakimś Moskalem do piątej rano... mówię ci straszny, ponury, jak chmura gradowa. Wcale nie łatwy do naciągnięcia!... O sto kroków od niego czuć było dziegieć i nihilizm! To mnie jednak wszystko nie zniechęciło... Pożądałam gwałtownie moich pięciuset franków i udało mi wreszcie napompować niedźwiedzia. Gdy idzie o biednych, nieszczęśliwych topielców, ktoby tam uważał na takie bagatele!"

— Oh! — Leon wydął usta pogardliwie, strzepując popiół z rozety trójkolorowej, która świeciła w dziurce od fraka. — Wiedzą one dobrze, iż Opatrzność w takim razie chętnie pozwala się zastępywać bogatemu bojarowi. „Pomagaj sobie, a i Moskal ci dopomoże!"

Silne dzwonienie rozmowę przerwało.

— Oho! Ostatni akt teatru amatorskiego się zaczyna. Idziesz Maksiu?

Wziąwszy się pod ramię, młodzi ludzie skierowali kroki ku ogrodowi klubu, gdzie dzwonek dźwięczeć donośnie nie przestawał!

Miejsce obszerne do przechadzek, było z wielkim przepychem udekorowane. Opony z jedwabiu dopełniały zaokrąglenia, przemieniając w salę teatralną, rodzaj galerji piaskiem wysypanej, a nazywanej przez członków klubu „Saharą wyścieloną resztkami cygar." Nie było gdzie zawiesić pająków, zastąpiono je więc beczułkami ze szkła kolorowego — był to wymysł nie lada komitetu urządzającego! — Rozlewały one światło jarzące i olśniewające na całe kosze kwiatów, po obu bokach wśród zieleni poustawiane. Beczułki ma się rozumieć były także w kolorach: białym, różowym i niebieskim, jak panie sprzedające przy każdym stoliku. Ponieważ wentę przeznaczono na cele narodowe, trójkolorowość była na porządku dziennym.

Maks zatrzymał się nieopodal od pierwszej beczułki i rzekł do towarzysza, wskazując nieznacznie na stolik, przy którym trzy panie sprzedawały cygara:

— Patrz i powiedz czy nie mają nasze damy i najlepiej urodzone, rozwiniętego w wysokim stopniu zmysłu do sprzedawania...

Jakiś jegomość zbliżył się właśnie i wybrał Londres'a. Położył cygaro przed sobą i sięgnął do portmonetki. Wyjął sztukę złota, cygara atoli już na stole nie zastał. Druga z sprzedających porwała mu je z przed nosa, obcięła delikatnie nożyczkami i podawała z uśmieszkiem roskosznym. Zawahał się chwilę, wyjął drugiego luidora i chciał wymknąć się gładko. W tem trzecia dama zapaliła fidybusa i znowu się uśmiechnęła. Westchnął, zapalił cygaro, przeszukał kieszonki, znalazł już tylko franka srebrnego, położył na ladzie i uciekł ze wstydu rumieńcem na czole. Sprzedające zachowały spokój niewzruszony angielskich rzeczimieszków!

— Biedny chłopczysko! — potrząsł Leon głową. — Jedno cygaro kosztuje go pięćdziesiąt franków!... To trzy siostrzyczki Montalbin wpadły na pomysł tak genialny. Płaci się za cygaro, płaci za obcięcie i płaci za ogień. Cudowny podział pracy! Księżna de Mérigny poradziła sobie jeszcze lepiej sama jedna. Na wencie dla wypędzonych Jezuitów, było pudełko Cazadores'ów dla wybranych, po dziesięć luidorów sztuka... Dziesięć luidorów!... ale te ona sama zapalała i podawała z ustek prześlicznych wyjmując. Reszta gatunków była po jednym luidorze, nikt atoli z tamtych brać się nie ośmielił. Widzisz, aby być dobrą damą dobroczynności, trzeba wziąć całkowity rozbrat z sumieniem.

— Mój Boże! — wzruszył Maks ramionami, będąc

widocznie pobłażliwszym i wyrozumialszym od towarzysza — prawda, że nas haniebnie oskubują, ale mamy za to i pewne wynagrodzenia. Popatrz tylko na Bibersteinki! To co za darmo pokazują, warte więcej niż towar przez nie sprzedawany.

Towarzysz spojrzał na dwie córki bankiera, wygorsowane skandalicznie. Suknie atłasowe barwy kremowej były tak wąskie i tak ciało naśladujące, iż z daleka robiły wrażenie trykotów. Leon odwrócił oczy prawie zgorszony.

— Dalipan! — syknął przez zęby — jakoś mi się dzisiaj to wszystko nędznem i wstrętnem wydaje. Zaraził mnię stary Frézel swojemi skrupułami... Ale idźmy dalej. Otóż i sala teatralna. Ah! to Raoul dzwoni a dzwoni, on więc został dzisiaj ministrantem... Słuchaj no, Frézel!...

U wejścia do wielkiego namiotu, z kortyną ponsową, aksamitną, ozdobioną złotemi frenzlami, młody człowiek dzwonił zapamiętale. Po nad kortyną był afisz olbrzymi; na tle niebieskiem, litery półłokciowe, ponsowe i białe, składały ogłoszenie następujące: „Teatr amatorski. Pierwsze i ostatnie przedstawienie. Palec Boży. Wielki dramat w pięciu aktach a jedenastu odsłonach.“

Skoro zoczył dwóch towarzyszy, Raoul zerwał się na nogi.

— Aaa! przecież zjawiliście się nygusy!.. No dzwońcie teraz!...

Maks nastroił minę niewinności srodze pokrzywdzonej.

— Jakto nygusy? Czyż nie przychodzimy zaprządz się do pracy?!

— Tak, przed aktem ostatnim! Kortynę podniosą za pięć minut!... Nie strudzicie się zbytecznie. Cieszy mnie jednak, żeście przyszli, bo jak mówi przysłowie: „lepiej późno niż nigdy,“ a mnie okrutnie tęskno za dobrem cygarem!

— Właśnie stryjaszek czeka na ciebie z prawdziwem Regalias i z pół kopą rad pożytecznych. Dzisiejszego wieczora, pan baron jest na punkcie surowej moralności, jak skała niewzruszonym!

— Przyjmę tylko cygaro — uśmiechnął się Raoul.

— Régalias przyjmują się zawsze! Jednak miej się na baczności. Na twojem miejscu wolałbym nie opuścić rozwiązania. Wtajemniczeni dziwa o końcu opowiadają... mają być rzeczy niezrównane!... do zemdlenia!...

Raoul wzruszył ramionami.

— Znamy się na tem!... Zlepek starożytności ten wasz „Palec Boży,“ parodja podszarzanych Melos z bulwaru du Temple i z operetek komicznych sali Favart. Czego tam nie ma!... Obok bajek do usypiania dzieci, cudzołoztwa, dziedzice i dziedziczki wielkich panów, wychowane w cieniu zamków ponurych à la Anna Redcliffe, tajemnice à la Genowefa z Brabantu. Wcale mnie nie bawią podobne karykatury!

— Patrzcie, jaki wybredniś! — Maks wykrzyknął. — Księżna de Rouerge i hrabina d'Armenque na deskach teatralnych! przecież się tego nie widzi codziennie, szczególniej pospołu z Leą Touzin i Jenny Mouillard z Variétes.

— Jeśli nabiorę ochoty, to wrócę. Do zobaczenia więc moi drodzy!

Raoul krokiem spokojnym i wolnym przeciskał się przez tłumy widzów. Dzwonek poruszany teraz ręką Leona towarzyszył mu dźwiękiem wesołym. U drzwi samych zatrzymała go burza oklasków. Obrócił się ku scenie, i obaczył księżnę de Rouerge, jako markizę z czasów Ludwika XV., a hrabinę de Armenque w roli Célimèny z czasów Regencji. Pod różem rumieniły się ze wzruszenia. To pomięszanie zdawało się zajmować Raoula. O mało nie został i przez krótką chwilę wahał się na progu. Machnął wreszcie ręką i skierował kroki do sali gry.

Stryjaszek uśmiechnął się na jego widok.

— Ah! jesteś przecie!... Cieszę się niezmiernie... Czas najwyższy!...

Raoul wypatrzył się zdziwiony.

— Eh! Czas zawsze wypalić cygaro... Czy twoje cygara stryjaszku czekać nie lubią?

— Właśnie tu idzie o cygara!... Zapomniałeś jakeśmy się wczoraj jeszcze umówili? Mam cię przecież przedstawić hrabinie de Gouix i jej córce...

Raoul poruszył rękoma rozpaczliwie, jak tonący gdy woła o ratunek.

— Na śmierć zapomniałem!... Ba! chcesz więc wujaszku, ni ztąd ni z owąd, przedstawiać mnie dziewczynce, której nie widziałem inaczej, tylko w króciutkiej sukience, bawiącą się piłką lub niezgrabnie przez sznur skaczącą?!...

— No, możesz ją wpierw zobaczyć... Wybrałem ci miejsce jedyne!

Gdy wyszli z sali, baron de Frézel popchnął lekko bratanka pod ścianę.

— Stań tutaj, a teraz idź za moją wskazówką... Widzisz w pierwszej galerji na prawo kiosk chiński, gdzie sprzedają goździki białe, ponsowe i niebieskie?

— Ależ stryjaszku, goździki niebieskie nie istnieją!...

— To nic nie szkodzi, hrabina de Gouix przedstawia goździk niebieski, kwiat, który powinienby istnieć koniecznie!... Niedbałość nie do przebaczenia ze strony natury... pani de Gouix naprawia takową, wypełniając lukę...

— I jak ją wypełnia! Co za pyszna i świetna czterdziestka.

— No, no, powoli! — skrzywił się baron — zdaje mi się, iż nadtoś dla niej łaskaw... tyle lat nie ma... mniejsza o to zresztą!... Widzisz młodą osobę, która trzyma pęk białych goździków?

— To Matylda de Gouix?

— Nie... jakaś kuzynka. Matylda ubrana różowo... sprzedaje goździki ponsowe i nakrapiane. Jak ją wi-

dzisz wyszła dziś rano z Sacré Coeur. Nowalijka, co?!... O! teraz, teraz!... zwraca główkę ku nam, rozmawiając z jakimś kupującym, widzisz?...

— Tak, widzę.

— Widziałeś niewidziany!... Wszystko zatem w porządku! Ale jak ty się skrzywiłeś niemiłosiernie... czyś niezadowolony?

Uśmiech nieokreślony zarysował się na pełnych ustach Raoula.

— O, przeciwnie!... Ładnie wyrosła, tylko jakoś mi się ckliwo zrobiło, widzieć ją taką słuszną. Nie odmładza mnie to bynajmniej... Wyglądam w obec niej, jak mój własny stryjaszek!...

Baron de Frézel nie zdawał się obrażony tą przymówką do jego włosów szpakowatych.

— Ba! Narzeczona to nie siostrzenica. Zresztą nie zestarzałeś się jeszcze tak bardzo. Miałeś przeszłość wesołą i swobodną, Matylda zgotuje ci przyszłość czarującą. Wasze wieki razem połączone, będą właśnie stanowiły czas najroskoszniejszy, między ostatniemi dniami wiosny a pierwszemi lata. Może jeszcze myślisz narzekać szczęśliwy hultaju?!

— Nie myślę o skardze, tylko o obronie.

— Masz słuszność. Poddanie się z twojej strony będzie tem większą chwałą i tem milszem zwycięstwem pięknych oczek Matyldy. Zresztą namyśl się do woli; nikt cię przecie nie ciągnie na sznurku, hrabina jest kobietą rozważną i rozsądną.

Raoul uśmiechnął się sarkastycznie.

— Mówisz o pannie de Gouix stryjaszku, jakbyś nią tak samo jak mną rozporządzał. Czy to może siostrzeniczka in partibus?

— Zkąd do djabła przyszła ci do głowy podobna niedorzeczność?! Znasz przecie moje stosunki z rodziną de Gouix... gubią się w lat zmierzchu. Matyldę widywałeś ot tycią, malusią!...

— No, w każdym razie ty stryjaszku znałeś ją jeszcze mniejszą.

— Bez wątpienia! Hrabia był człowiekiem jedynym!.. moim najserdeczniejszym przyjacielem. A żony naszych przyjaciół....

— Są naszemi przyjaciółkami!...

— Naturalnie!... No; chodź, chodź ze mną!... Napomknąłem coś o tobie, o przedstawieniu, nie zechcesz mnie przecież w obec nich na dudka wystrychnąć!

— Nie! Wystrychnę raczej sam siebie!... A więc idźmy stryjaszku!

Gdy zbliżyli się do kiosku, miejsce było wolne. Publiczność cała tłoczyła się do uduszenia w ogrodzie, aby nie stracić końca efektownego dramatu.

Hrabina de Gouix rozsiadła się majestatycznie w fotelu po środku, niby królowa posłuchania udzielająca. Przed nią stał koszyk srebrny, napełniony po same brzegi złotem.

Baron przedstawił Raoula.

— Mój bratanek...

Dama niebieska zwróciła ku nim strojną główkę z uśmiechem i z gracją cokolwiek wystudjowaną, przyczem usunęła jej się z ramion zarzutka biała, koronkowa, ukazując szyję i część biustu, odsłoniętego mocnem wycięciem sukni w kwadrat. Trochę to wszystko było za pełne, za okrągłe, nęciło jednak oko białością i pulchnością.

— Moja kuzynka, Berta d'Anfreville... Moja córka Matylda...

Milczenie zapanowało. Mierzono się nawzajem oczami. Raoul czuł się śmiesznym i niezgrabnym, a jednak coś go ciągnęło przypatrzeć się bliżej, i poznać dokładniej to dziecię, które (jak sam utrzymywał) widział nie dawno przez sznur skaczące. Była ubraną jak podlotek, w staniku różowym pod szyję, z kryską koronkową, i szeroką wstążką niebieską morową, ukośnie, przez piersi przepasaną. Hrabina pierwsza przemówiła:

— Przypatrujesz się pan tej szarfie?...

Właśnie wstążka była mu w głowie! Pochwycił nie mniej w lot dobrą sposobność przemówienia i bąknął tonem zdziwienia niesłychanego:

— Istotnie!... ta wstęga!... nadzwyczaj oryginalna!...

Pani de Gouix uśmiechnęła się znacząco.

— Odznaka z Sacré-Coeur... z jej klasy... życzyłam sobie, żeby ją zatrzymała.

Panienka spłonęła przelotnym rumieńcem. Zdawała się pomięszaną, i gorliwie bukiecikr układała. Baron wpadł w rozmowę z udaną porywczością.

— Nie po to przecie przyszliśmy tutaj!... mamy kupować... a dotąd nie kupujemy... hrabino kochana, zapominasz o topielcach nieszczęśliwych! Powinnabyś karę zapłacić.

A zwracając się do bratanka:

— Dalej chłopcze!... wybieraj!... — dodał.

Po kolei Raoul się zarumienił.

Do pary z mamą, naiwną nielitościwie, jeszcze straszliwszy w naiwności stryjaszek!... Zrobił jednak wysiłek nadludzki i uśmiechnął się... Matylda spojrzała mu w oczy serdecznie, ślicznym uśmieszkiem płacąc nawzajem. Nie wahał się dłużej, wybrał dwa goździki, ponsowy i nakrapiany, podczas gdy baron przeniósł się na drugą stronę, pustosząc kosz z goździkami białemi.

Hrabina de Gouix odebrała louidory, wkładając zręcznie, aby utrzymać równowagę, na wierzch koszyka, tak pełnego, jak wycięcie jej sukni. Z drugiem wydaniem uśmiechu, jeszcze słodszego, skinęła główką odchodzącym.

— Do zobaczenia, panie de Frézel... wkrótce!...

Baron schwycił Raoula pod ramię, i krokiem wojskowym, jak gdyby szli do ataku, nazad do sali gry odprowadził. Tu podał mu cygaro.

— Masz chłopcze!... Żebyś wiedział, że twój stryj zawsze słowa dotrzymuje!... Zresztą, zasłużyłeś na nie co prawda!

Raoul poruszył ręką odmownie.

— Zasłużyłem, to pewna, ale nie dbam już o cy-

garo, apetyt mi przeszedł... Czas zresztą, żebym wrócił do teatru. Mogą mnie potrzebować.

— Słuszna uwaga... Ja bo idę wprost do łóżka... Dobranoc!... Jakże ją znalazłeś?

— Wiele zyskała..

— Zyska jeszcze więcej... Słyszałeś przecie co matka mówiła... Pączek... Podlotek!...

— Oh! Podlotek!...

Raoul na szczęście nie dokończył głośno złośliwej uwagi. W duchu jednak pomyślał:

— Skoro matki nie chcą przekroczyć letnich upałów, biedne córki muszą kwitnąć wiecznym majem!

Podlotek czy nie, Matylda de Gouix była nie mniej czarującą! Paoul nie mógł zapomnieć słodkiego uśmieszku, który pierwszy wzbudził w nim rodzaj sympatji, wzniecił niemal zażyłość pomiędzy nimi.

Myśl o Matyldzie nie opuściła go, póki nie dostał się aż do sceny. Tu uwagę jego inny widok pochłonął.

Podniesiono rząd kinkiet płomienisty. Po za klombami kamelji, maskującemi otwory zakulisowe, ogniomistrze, leżąc na brzuchu, dla lepszej ułudy, puszczali ognie bengalskie, ponsowe, niebieskie i zielonkowato-białe. Trójkolorowość narodowa, narzucała dalej swoje panowanie, oblewając scenę tęczowemi blaskami. Był to finał wspaniały, ogólne rozpoznawanie i przyznawanie, z nieuniknionym małżeństw potopem. Książe poznawał syna w młodym, przystojnym drwalu, kochającym na zabój, młodą, fertyczną węglarkę. Księżna odszukiwała w tejże owoc grzeszku młodości nieopatrznej jednej z sióstr swoich (grzeszek jak i dziewczynę osłaniały lasu cienie tajemnicze). Ściskano się najprzód, żeniono następnie, a wszystko ku radości ogólnej, przy akompaniamencie chórów wiejskich, złożonych z członków najmłodszych, należących do Towarzystwa dobroczynności.

Raoul trafił w sam czas, na scenę uścisków. Księżna de Rouerge porwała w objęcia Leę Touzin i do serca ją przyciskała, hrabina d'Armenque zaś upadła w ramiona młodego drwala, przedstawionego przez Jenny Mouillard.

Nie było to łatwem do odegrania, Raoul jednak nie mógł się dość nadziwić prawdzie i naturalności aktorek improwizowanych.

Podczas gdy Lea i Jenny wydawały się sztywne i jakby po raz pierwszy w życiu czemś zażenowane, księżna i hrabina przesadzały jedna drugą w zapale i swobodzie, graniczącej prawie z wyuzdaniem.

Czarna główka hrabiny, spoczywała miłośnie, omdlewająco na piersiach młodego drwala, ubranego niby Pierot z *Funambules*. Ze swojej strony księżna jasnowłosa, okrywała pocałunkami siostrzenicę cudownie w gęstwinie leśnej odszukaną. Publiczność tchu złapać nie mogła. Nagle zabrzmiał głos drwiący reżysera, którym był Maks d'Agremont.

— To, to, to!... Tak właśnie!... Doskonale dziateczki!... Niech mnię dunder świśnie!... A to ci szyk!...

Było to sygnałem do owacji pełnej zapału. Burza oklasków zerwała się od końca do końca, okrzyki były tak gwałtowne, iż prąd powietrza poruszył płomienie gazowe w kinkietach, które najprzód w górę wystrzeliły, następnie pełzając po deskach teatralnych, zdawały się całować drobne stopki grających. Księżna i hrabina w zapale ściskać nie przestawały, Lea jednak i Jenny, jako wprawniejsze w rzemiośle, instynktem prawie próbowały z objęć się uwolnić, aby podziękować publiczności. Wtedy i dwie wielkie damy raczyły sobie widzów przypomnieć. Lekko, z gracją, jakby płynęły, jednem ramieniem obejmując kibić aktorek z profesji, ku kinkietom się posuwały.

Obraz żywy nie mógł być dosadniejszym i kontrasty więcej w oczy bijące. Jenny i Lea, dotąd całkiem spokojne, teraz cokolwiek wzruszone, czy to prądem magnetycznym, płynącym od publiczności rozentuzjazmowanej, czy też podrażnione długim uściskiem dam salonowych, do czego nie nawykły, zachowały jednak w całym układzie pewną skromność artystek pierwszorzędnych. Uśmiech stereotypowy osiadł na ustach, we wzroku błądzącym po sali bez celu, była owa głębia cicha i tajemnicza, tak niebezpieczna i pociągająca. Damy salonowe za to, wyglądały na kokotki, gdy przy wesołej kolacyjce, wypiją za wiele szampana. Spojrzenie miały zamglone, powłóczyste, uśmiech roskoszy wyzywający, pełen obietnic i... zwierzeń.

Kuplet końcowy, którym dziękowano publiczności, iż raczyła wypróżnić kieszenie, aby przynieść ulgę w nieszczęściu, dotkniętym powodzią w Tonkinie, damy salonowe odśpiewały głosem drżącym od wzruszenia namiętnego, aktorki z powołania zaś, rzuciły go śmiało i obojętnie, jako coś, co dla nich już dawno spowszedniało i nerwów im bynajmniej nie drażni; oklaski się powtórzyły i... *finita la comedia*!

Raoul usłyszał za sobą głośne wołanie:

— A cóż tam Frézel?... Spisz, czy co?... Bój się Boga!... pięćdziesiąt dam do wsadzania!

Drgnął, jak ktoś istotnie nagle ze snu zbudzony, chociaż o spaniu ani mu się śniło. Był tylko tem, co widział przed chwilą, odurzony, zahypnotyzowany, prawie nieprzytomny. Ta przyjaźń czuła i najścisiejsza na pozór, między damami salonowemi i aktorkami, między patrycjuszkami prawdziwemi i owemi zakulisowemi księżniczkami, których blaski fałszywe gasną wraz z światłem sztucznem kinkietów teatralnych, zostawiając tylko nagą i nader smutną rzeczywistość, ta spółka potworna, w której damy salonowe rolę niejako zamieniły, wziąwszy na siebie zaczepność zuchwałą, wszystko to przedstawiło mu się w świetle jaskrawem, olśniewającem, pojął znaczenie ohydne grupy na deskach teatralnych przedstawionej, pojął ów przewrót olbrzymi, w opinji, w obyczajach, którego apoteozę oświetlono przed chwilą ogniami bengalskiemi, zrozumiał, czem grozi to zespolenie się dwóch światów odrębnych, na punkcie mód ekscentrycznych, obyczajów więcej niż swobodnych ruchów i mowy niemal... wyuzdanej. Przeraził się gangreną moralną, nurtującą od warstw najniższych do najwyższych, w całem społeczeństwie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.